Poul Anderson

Bestia z gwiazd

(The Star Beast)

Super Science Stories, September 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Technik odradzania myślał, że w czasie trzech stuleci życia, słyszał już wszystko. Teraz jednak czuł naprawdę zdumienie.

— Drogi panie — zapytał. — Czy pan powiedział tygrys…?

— Zgadza się — potwierdził Harol. — Może pan to zrobić, prawda?

— No cóż… przypuszczam, że tak. Oczywiście musiałbym najpierw zbadać problem. Nikt jeszcze nie życzył sobie ponownego odrodzenia w ciele tak mało podobnym do ciała człowieka. Ale tak na szybko, powiedziałbym, że to jest możliwe. — Oczy technika rozbłysły blaskiem, jaki nie płonął w nich od wielu dziesięcioleci. — To byłoby przynajmniej… interesujące!

— Myślę, że zapis tygrysa chyba macie — powiedział Harol.

— Och, musimy mieć. Mamy zapisy wszystkich zwierząt, które ciągle nie wyginęły kiedy wynaleziono tę technikę, i jestem pewien, że w tamtych czasach musiały żyć jeszcze jakieś tygrysy. Ale pozostał problem modyfikacji. Ludzki umysł po prostu nie może przetrwać w tak odmiennym układzie nerwowym. Musielibyśmy odpowiednio zmienić zapis – oczywiście większy mózg z większą liczbą zwojów itd… Nawet wtedy byłby on daleki od doskonałości, ale podstawowa część umysłu powinna być stabilna przez rok lub dwa, w normalnym wypadku. W każdym razie tyle czasu by pan chciał, prawda?

— Tak — odparł Harol.

— Odradzanie się w postaci zwierząt staje się obecnie modne — przyznał technik. — Ale do tej pory proszono tylko o zwierzęta z łatwymi do modyfikacji układami. Małpy człekokształtne, na przykład… mózgu szympansa nie trzeba w ogóle nawet zmieniać, aby mógł on przechować stabilny ludzki umysł przez całe lata. Słonie też są całkiem niezłe. Ale… tygrys… — pokręcił głową. — Przypuszczam, że da się to zrobić, do pewnego stopnia. Ale dlaczego nie goryl?

— Chcę mięsożercy — powiedział Harol.

— Przypuszczam, że pański psychiatra… — zasugerował technik.

Harol krótko skinął głową. Technik westchnął i stracił nadzieję na barwne wyznania. Pracownik Stacji Odradzania słyszał wiele dziwnych historii, ale ten facet nie był zbyt wylewny. No cóż, samo jego żądanie dostarczy materiału do plotek na wiele dni.

— Na kiedy to wszystko może być gotowe? — spytał Harol.

Technik w zamyśleniu podrapał się po głowie.

— To trochę potrwa - powiedział. — Musimy zeskanować zapis, wie pan, i wypracować podstawowy wzorzec neuronowy, który utrzyma ludzki umysł. Mówimy czymś poważniejszym niż zwykłe nałożenie pamięci. Geny kontrolują organizm przez cały okres jego życia, dyktując, w granicach wyznaczanych przez środowisko, nawet czas i szybkość starzenia. Rozwój osobniczy zwierzęcia nie może pozostawać w całkowitej sprzeczności z

jego podstawowym pochodzeniem gatunkowym – nie byłoby ono zdolne do życia. Będziemy więc musieli zmodyfikować nie tylko same cząsteczki komórek, ale również ogólną anatomię układu nerwowego.

— Krótko mówiąc — uśmiechnął się Harol, — ten inteligentny tygrys będzie w stanie się rozmnażać.

— Gdyby znalazł podobną tygrysicę — odparł technik. — Nie, prawdziwą – tych już nie ma, a poza tym czynniki dziedziczne byłyby zbyt odmienne. Ale może chce pan kobiecego ciała dla kogoś innego?

— Nie, chcę tylko ciała dla siebie.

Przez chwilę Harol pomyślał o Avi i spróbował wyobrazić sobie ją, wcieloną w giętką, pełną śmiercionośnej gracji wielką kocicę. Ale nie, ona nie należała do entuzjastek tego rodzaju rzeczy. A poza tym samotność była częścią terapii.

— Kiedy będziemy już mieli zmodyfikowany zapis, oczywiście nic nie będzie stało na przeszkodzie, aby nałożyć na niego pańskie wzorce pamięci — powiedział technik. — To będzie zwykły proces, jak każde odrodzenie człowieka. Ale żeby stworzyć ten zapis – cóż, mogę wykorzystać do rozwiązania tego problemu, specjalne jednostki skanujące i obliczeniowe w Dziale Badawczym. Nikt tam teraz nie pracuje. Powiedzmy, tydzień. Czy to wystarczy?

— Dobrze – zgodził się Harol. — Wrócę za tydzień.

Odwrócił się, i rzuciwszy krótkie do widzenia, udał się długim ruchomym chodnikiem w stronę najbliższego transmitera. Był on teraz prawie pusty, z wyjątkiem nieludzkich postaci mobilnych robotów szybujących w swoich sprawach. Cichy, niski szum aktywności, który wypełniał Stację Odradzania, był prawie w całości efektem pracy takich maszyn, strumieni elektronów z szeptem pokonujących próżnię w cichych procesach mózgowych sztucznych intelektów, które tak dalece przewyższały swych ludzkich twórców, że ludzie nie byli już w stanie śledzić ich myśli. Ludzki mózg po prostu nie potrafił pracować z tak wieloma równoczesnymi czynnikami.

Maszyny stały się wyroczniami naszych czasów. I dającymi życie bóstwami. *„Pasożytujemy na naszych maszynach”*, pomyślał Harol. *„Jesteśmy małymi pchłami skaczącymi po gigantach, które stworzyliśmy. Nie ma już prawdziwych naukowców-ludzi. Jakże mogli by oni działać, skoro elektroniczne mózgi i wielkie maszyny stanowiące ich ciała, potrafią wszystko zrobić o wiele szybciej i lepiej – mogą zrobić rzeczy, o których nawet byśmy nawet nie śnili, rzeczy, na temat których najwięksi geniusze ludzkości mają tylko nikłe przebłyski zrozumienia? To nas sparaliżowało, to i nieśmiertelność odradzania. Nie zostało nic, jak tylko żyć w bezczynności i przyjemnościach – a po kilku wiekach, ile radości daje cokolwiek?”*

Nic dziwnego, że odradzanie się w postaci zwierząt było takim szałem. To dawało pewną perspektywę nowości – przez chwilę.

Mijał lustro i przystanął, aby spojrzeć na siebie. Nie było w nim niczego niezwykłego; jego ciało było wysokie smukłe, twarz miała przystojne rysy, które były w dzisiejszych czasach bardzo zuniformizowane. Na skroniach miał odrobinę siwizny i trochę łysiał na czubku głowy, chociaż to ciało

miało dopiero trzydzieści pięć lat. Ale zawsze szybko się starzał. W dawnych czasach ledwie osiągnął setkę.

„Mam – niech no pomyślę – czterysta sześćdziesiąt trzy lata. Przynajmniej moja pamięć tyle ma – a kimże ja jestem, esencjonalnym ja, czy zapisem w pamięci?”

W przeciwieństwie do większości ludzi w budynku miał na sobie ubranie, lekką tunikę i płaszcz. Był trochę przewrażliwiony na punkcie wiotkości swojego ciała. Naprawdę powinien utrzymywać się w lepszej kondycji. Ale tak naprawdę po co, skoro jego dwudziestoletni zapis był taki wspaniały?

Dotarł do kabiny transmitera i zawahał się przez chwilę, zastanawiając się, dokąd się udać. Mógł wrócić do domu – musiał uporządkować swoje sprawy przed rozpoczęciem fazy tygrysa – albo mógł wpaść do Avi lub… Jego myśli błąkały się bez celu, aż zmusił się do skupienia, z gniewnym drgnięciem. Po ponad czterech stuleciach trudno było skoordynować wszystkie swoje wspomnienia; robił się coraz bardziej roztargniony. Musi kazać psychologom z Odradzania aby przejrzeli jego zapis, z jednej z tych przeżytych generacji, i wyeliminowali część tego bezużytecznego bałaganu z jego synaps.

Postanowił odwiedzić Avi. Kiedy podał imię transmiterowi i czekał, aż przeszuka on elektroniczne pliki w Centrali, aby znaleźć jej obecne miejsce zamieszkania, przyszło mu do głowy, że w całym swoim życiu tylko dwa razy oglądał z zewnątrz Stację Odradzania. Całe to miejsce było ogromne, wyglądało jak pozbawiona cech charakterystycznych góra wznosząca się w niebo ponad prawie pustymi europejskimi lasami – równie imponująca jak krater Tycho czy pierścienie Saturna. Ale kiedy transmiter wysyła ludzi bezpośrednio między budkami znajdującymi wewnątrz budynków, rzadko mają oni okazję spojrzeć na ich zewnętrzną stronę.

Przez chwilę bawił się myślą o przeniesieniu się do jakiegoś pobliskiego domu tylko po to, aby zobaczyć Stację. Ale… no cóż, może to przecież zrobić w każdej chwili w ciągu następnych paru tysiącleci. Stacja będzie trwać wiecznie, on też.

Wygenerowano pole transmitera. Z prędkością światła Harol pomknął dookoła świata do mieszkania Avi.

Okazja była na tyle uroczysta, że Ramacan założył swoje najlepsze ubranie, czerwoną pelerynę na tunikę i liczne ozdoby z klejnotami pasujące do formalnego stroju. Następnie usiadł przy transmiterze i czekał.

Budka stała tuż koło niego, na otoczonej kolumnami werandzie. Ze swojego fotela Ramacan mógł wyglądać przez otwarte drzwi na wielkie skały i szczyty Kaukazu, teraz zazielenione przez powracające lato, z wyjątkiem miejsc, w których pod jasnym niebem migotały wieczne śniegi. Mieszkał tu od wielu stuleci, w przeciwieństwie do niespokojnego życia większości Ziemian. Ale lubił to miejsce. Miał tu spokojne życie; nigdy się nie zmieniało. Większość dzisiejszych ludzi szukało różnorodności, w

gorączkowej pogoni za czymś nowym czego jeszcze nie kosztowali, stare umysły w młodych ciałach, próbujące odzyskać dawno utraconą świeżość. Ramacan był prawdopodobnie – jak go nazywali, ociężały. Stabilny lub stały, określenie może bliższe prawdy. Co czyniło go idealnym kandydatem do swojej pracy. Większość z tego, co pozostało z rządu na Ziemi, pozostawiono jemu.

Felgi się spóźniał. Ramacan nie przejmował się tym; sam nigdy się nie śpieszył. Ale kiedy Procjonita w końcu przybył, jego zachowanie wyrwało zdumione przekleństwo nawet z ust Ziemianina.

Nie przeszedł przez transmiter. Przyleciał ze swego statku łodzią, smukły metalowy rekin opadł z nieba i z westchnieniem usiadł na trawniku. Ramacan zauważył płaskie wieżyczki i wystające z nich złowieszcze lufy działek. Anachronizm – Sol nie widziało okrętu wojennego od większej liczby wieków, niż mógłby spamiętać. Ale…

Felgi wyszedł ze śluzy. Za nim podążał oddział uzbrojonych strażników, którzy oparli swoje miotacze kolbami o ziemię i stanęli na baczność. Kapitan Procjonitów wszedł do domu sam.

Ramacan spotykał go już wcześniej, ale przyjrzał mu się z nową uwagą. Jak większość marynarzy swojej floty, Felgi był trochę niski jak na ziemskie standardy, a sztywność jego twarzy i postawy były niemal szokujące. Surowy, dopasowany do sylwetki, czarny mundur kapitana, niewiele różnił się od mundurów jego podwładnych, z wyjątkiem insygniów stopnia. Twarz miał ostrą, szczupłą, o ciemnej skórze z ochronną pigmentacją niezbędną do życia pod straszliwym blaskiem Procjona, a w jego oczach było coś, czego Ramacan nigdy wcześniej nie widział.

Procjonici wyglądali jak ludzie. Ale Ramacan zastanawiał się, czy czasami nie ma jakiegoś ziarna prawdy w tych plotkach, które krążyły po Ziemi od ich przybycia, że mutacja i selekcja podczas długiego i okrutnego wygnania, zmieniły kolonistów w coś, czym nigdy nie staliby się na ojczystej planecie.

Z pewnością ich system społeczny i podstawowe zręby psychologiczne wydawały się – obce.

Felgi wjechał krótkimi schodkami ruchomymi na werandę i skłonił się sztywno. Psychografowie nauczyli go współczesnego ziemskiego, ale w jego głosie wciąż pobrzmiewało echo ostrego języka kolonii, a frazowanie czasami brzmiało dziwnie:

— Witam pana, Głównodowodzący.

Ramacan odpowiedział ukłonem, ale jego był wyszukanym, zamaszystym ziemskim gestem.

— Witam pana, generale – ah – generale Felgi. — Następnie nieformalnie: — Proszę wejść.

— Dziękuję panu. — Drugi z mężczyzn wszedł do domu.

— Pańscy towarzysze…?

— Moi *ludzie* pozostaną na zewnątrz. — Felgi usiadł bez zaproszenia, co było poważnym naruszeniem etykiety – ale w końcu w jego ojczyźnie panowały zupełnie inne obyczaje.

— Jak pan sobie życzy. — Ramacan wybrał numer drinka w stojącym w pokoju kreatorze.

— Nie — oznajmił Felgi.
— Przepraszam?
— My, na Procjonie, nie pijemy. Myślałem, że pan o tym wie.
— Przepraszam. Zapomniałem. — Z żalem Ramacan pozwolił by wino i kieliszki powróciły do banku materii i usiadł.
Felgi usiadł sztywno wyprostowany, przez co wysiłki siedzenia, aby dopasować się do jego kształtów, były daremne. Z wolna, Ramacan zaczął rozpoznawać emocję, która wrzała i tliła się pod maską ciemnej, szczupłej twarzy.
Gniew.
— Ufam, że pobyt na Ziemi jest dla pana przyjemny — powiedział, przerywając ciszę.
— Nie traćmy czasu na bezsensowne słowa — warknął Felgi. — Jestem tu w interesach.
— Jak pan sobie życzy.
Ramacan próbował się odprężyć, ale nie mógł; jego nerwy i mięśnie ciągle były napięte.
— O ile się orientuję — powiedział Felgi — to pan kieruje rządem Sol.
— Przypuszczam, że można tak powiedzieć. Mam tytuł koordynatora. Ale w dzisiejszych czasach nie ma zbyt wiele rzeczy do koordynacji. Nasz system społeczny praktycznie działa sam.
— O ile w ogóle taki posiadacie. W rzeczywistości jesteście kompletnie zdezorganizowani. Każdy człowiek wydaje się wystarczać samemu sobie.
— Oczywiście. Gdy każdy posiada kreator materii, który może zaspokoić wszystkie jego normalne potrzeby, musi obowiązywać znaczny stopień ekonomicznej, a co za tym idzie społecznej, niezależności. Oczywiście mamy pewne usługi publiczne – Stacja Odradzania, Elektrownia, Centrala Transmitera i kilka innych. Ale nie jest ich zbyt wiele.
— Nie rozumiem, dlaczego nie zalewa was przestępczość. — Ostatnie słowo musiało być procjońskie i Ramacan uniósł brwi ze zdziwieniem. — Zachowania antyspołeczne — wyjaśnił z irytacją Felgi. — Kradzież, morderstwo, destrukcja.
— Jaka potrzeba miałaby powodować, chęć kradzieży? — spytał zaskoczony Ramacan. — A obecny stopień niezależności praktycznie eliminuje tarcia społeczne. Rzeczywiste psychozy zostały już dawno usunięte z neuronowych elementów zapisów odrodzeń.
— W każdym razie zakładam, że mówi pan w imieniu Sol.
— Jakże mógłbym mówić w imieniu prawie miliarda różnych ludzi? Wie pan, mam niewiele władzy. Minimum tego, co jest potrzebne. Jednak zrobię wszystko, co w mojej mocy, jeśli tylko powie mi pan…
— Dekadencja Sol jest niesamowita — warknął Felgi.
— Może pan mieć rację. — Ton głosu Ramacana był łagodny, ale pod elegancką powierzchnią, najeżył się. — Czasami sam również tak myślę. Ale co to ma wspólnego z naszym obecnym tematem dyskusji – jakikolwiek by on nie był?
— Porzuciliście nas na wygnaniu — oznajmił Felgi, i obecnie jego głos przepełniały gniew oraz nienawiść, płonąc również w oczach. — Przez

dziewięćset lat Ziemia opływała w luksusy, podczas gdy ludzie na Procjonie walczyli, cierpieli i umierali w najgorszym piekle.

— A z jakich powodów, mielibyśmy lecieć na Procjona? — zapytał Ramacan. — Po tym, jak kilka pierwszych statków założyło tam kolonię… cóż, przed nami leżała cała galaktyka. Kiedy żadne statki kolonialne z waszej gwiazdy nie przybywały, przypuszczam, iż założono, że ludzie tam wymarli. Być może ktoś powinien polecieć na miejsce i sprawdzić sytuację, ale dotarcie tam zajmuje dwadzieścia lat, a to był wyjątkowo niegościnny i niewdzięczny układ, zaś na nas czekało tak wiele innych gwiazd. Potem pojawił się kreator materii i Sol nie miało już rządu, który zajmowałby się takimi rzeczami. Podróże kosmiczne stały się indywidualną sprawą, a nikt z ludzi nie był zainteresowany Procjonem. — Wzruszył ramionami. — Bardzo mi przykro.

— Panu jest przykro!? — Felgi wręcz wypluł te słowa. — Przez dziewięćset lat nasi przodkowie walczyli ze srogością naszych planet, głodowali i umierali w nędzy, cofnęli się niemal do stanu barbarzyństwa i musieli walczyć o każdy krok powrotny, tocząc najokrutniejszą wojnę w historii, z Czernigi – niekończące się stulecia wojny na śmierć i życie, aż jedna lub druga rasa ulegnie eksterminacji. Umieraliśmy ze starości, pokolenie po pokoleniu – wyrywaliśmy zasoby zaspokajające nasze potrzeby z planet, które nigdy nie były przeznaczone dla ludzi – mój statek poświęcił dwadzieścia lat, powracając tutaj, dwadzieścia lat z krótkiego życia ludzkiego – a panu jest przykro!

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, chłoszcząc gorzkimi słowami.

— Mieliście gwiazdy, mieliście nieśmiertelność, mieliście wszystko, co można stworzyć z materii. A my spędziliśmy dwadzieścia lat stłoczeni w metalowej puszce, aby się tu dostać – zastanawiając się, czy może na Sol nie spadły jakieś złe czasy i nie potrzebujecie naszej pomocy!

— Co pan chce, żebyśmy teraz zrobili? — zapytał Ramacan. — Cała Ziemia przywitała was…

— Jesteśmy dla was nowością!

— …cała Ziemia jest gotowa zaoferować wam wszystko, co tylko może. Czego więcej od nas chcecie?

Przez chwilę wściekłość wciąż płonęła w dziwnych oczach Felgi. Potem znikła, zgasła, jakby zasłonił ją kotarą, a on stał nieruchomo i przemówił z nagłym spokojem.

— To prawda. Chyba powinienem przeprosić. Napięcie nerwowe…

— Zapomnijmy o tym — powiedział Ramacan. Ale w duchu się zastanawiał. Jak dalece można było zaufać Procjonitom? Wszystkie te ciężkie stulecia wojen i intryg – po których nie byli już tak naprawdę ludźmi, a przynajmniej nie takimi ludźmi jak mieszkańcy Ziemi – ale co innego mógł zrobić? — Wszystko w porządku. Rozumiem.

— Dziękuję panu. — Felgi ponownie usiadł. — Czy mogę zapytać, co pan oferuje?

— Kreatory do duplikowania materii, oczywiście. I zduplikowane roboty, do zarządzania bardziej złożonymi technikami Odradzania. Pewne procesy przekraczają możliwości zrozumienia ludzkiego umysłu.

— Nie jestem pewien, czy to byłoby dla nas dobre — stwierdził Felgi. — Sol popadło w stagnację. Wygląda na to, że w ciągu ostatniego pół tysiąca lat, nie nastąpiła żadna znacząca zmiana. Przecież nawet napędy naszych statków kosmicznych są lepsze niż wasze.

— A czego pan się spodziewa? — wzruszył ramionami Ramacan. — Jakie miałyby być bodźce do takiej zmiany? Postęp, używając tego archaicznego terminu, jest środkiem do osiągnięcia celu, a my ten cel osiągnęliśmy.

— Ciągle nie wiem… — Felgi potarł podbródek. — Nie jestem nawet pewien, jak działają wasze duplikatory.

— Nie potrafię panu wiele o nich powiedzieć. Ale największe techniczne umysły Ziemi nie są w stanie powiedzieć panu wszystkiego. Jak już panu wcześniej mówiłem, cała związana z tym wiedza jest po prostu zbyt obszerna, aby ją naprawdę poznać. Tylko elektroniczne mózgi są w stanie poradzić sobie z takimi ilościami informacji na raz.

— Może mógłby pan podać mi najważniejsze fakty i powiedzieć, jak pan to rozumie. Szczególnie interesują mnie faktyczne sposoby ich wykorzystania.

— No cóż, zobaczymy. — Ramacan przeszukał swoją pamięć. — Ultrafale zostały odkryte – och, to musiało być dobre siedem lub osiem wieków temu. Przenoszą one energię, ale nie mają charakteru elektromagnetycznego. Ich teoria, o ile człowiek może ją prześledzić, związana jest z mechaniką falową.

Pierwsze wielkie ich zastosowanie pojawiło się wraz z odkryciem, że ultrafale przenoszą sią na odległości wielu jednostek astronomicznych, przechodząc przez materię bez przeszkód i strat energii. Teoria, która za tym stoi, sprowadza się do faktu, że fala jest, no cóż tak to chyba należy określić, „świadoma” odbiornika i tylko do niego dociera. Do wygenerowania ultrafali musi istnieć zarówno odbiornik i nadajnik. Naturalnie doprowadziło to do doskonale efektywnego nadajnika energii. Dzisiaj cały Układ Słoneczny czerpie energię z Słońca – transmitowaną przez elektrownię po dziennej stronie Merkurego. Wszystko, od międzyplanetarnych statków kosmicznych, do telewizorów i zegarów, zasilane jest z tego źródła energii.

— Dla mnie brzmi to niebezpiecznie — zauważył Felgi. — A jeśli stacja ulegnie awarii?

— Nie ulegnie — odparł z przekonaniem Ramacan. — Stacja ma swoje własne roboty, w ogóle nie ma na niej techników ludzi. Wszystko jest rejestrowane. Jeśli jakakolwiek część ulegnie zniszczeniu, jest automatycznie rozkładana w najbliższym banku materii i odtwarzana. Istnieją również inne zabezpieczenia. Stacja nigdy nie sprawiała kłopotów, odkąd została zbudowana.

— Rozumiem… — ton głosu Felgiego był zamyślony.

— Wkrótce potem — mówił dalej Ramacan, — odkryto, że ultrafale mogą również przenosić materię. Można zbudować obwody, które będą skanować każde ciało atom po atomie, rozpuszczać je w energię i przesyłać tę energię na ultrafalach wraz z sygnałem skanującym. W odbiorniku, oczywiście, przeprowadzany jest proces odwrotny. Naturalnie,

znacznie upraszczam całą sprawę. Nie jest to prosty sygnał, ale ogromny kompleks sygnałów, który może być przenoszony tylko przez ultrafale. Ale daje to panu ogólne pojęcie. Prawie cały dzisiejszy transport odbywa się za pomocą tej techniki. Pojazdy powietrzne lub kosmiczne stosowane są tylko do bardzo specjalistycznych celów oraz do wycieczek dla przyjemności.

— Macie chyba do tego jakieś centrum kontroli, prawda?

— Tak. Stacja Transmitera na Ziemi znajduje się w Brazylii. Przechowuje wszystkie zapisy, takie jak adresy, i koordynuje miliony jednostek na całej planecie. To oczywiście ogromny, skomplikowany obiekt, ale doskonale wydajny. Ponieważ odległość już nic nie znaczy, scentralizowanie jednostek usług publicznych jest najbardziej praktycznym rozwiązaniem.

Cóż, od transmisji był już tylko krok do zarejestrowania sygnału i odtworzenia go z banku jakiejkolwiek innej materii. A więc – duplikator. Kreator materii. Może pan sobie wyobrazić, jak on zmienił gospodarkę Sol! Dziś każdy ma jedną z takich maszyn, a jeśli nie ma zapisu tego, czego akurat potrzebuje, może go skopiować i pobrać z wielkiej „biblioteki" Stacji Kreatora. Każde, dowolne dobro materialne, może stać się jego własnością, po przekręceniu tarczy i naciśnięciu przełącznika.

A to z kolei, wkrótce doprowadziło do techniki Odradzania. Jest ona tylko rozszerzeniem wszystkiego, co było dostępne wcześniej. Ciało człowieka jest rejestrowane w kwiecie wieku, powiedzmy w wieku około dwudziestu lat. Potem żyje on tyle, ile mu zależy, na przykład do trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, lub jakiejś innej chwili, gdy zacznie się trochę starzeć. Wtedy jego wzór neuronowy jest rejestrowany przez specjalne jednostki skanujące. Pamięć, jak pan z pewnością wie, jest kwestią synaps nerwowych i modyfikowanych cząsteczek białka, a to nie jest zbyt trudne do zeskanowania i zarejestrowania. Ten wzorzec jest nakładany elektronicznie na zapis dwudziestoletniego ciała człowieka. Następnie jego własne ciało jest wykorzystywane jako bank materii do materializacji wzorca ze zmienionym zapisem i – praktycznie natychmiast – tworzone jest młode ciało - ale ze wszystkimi wspomnieniami starego! Człowiek – staje się nieśmiertelny!

— W pewnym sensie — stwierdził Felgi. — Ale nadal nie wydaje mi się to właściwe. Ego, dusza, jakkolwiek chciałby pan to nazwać – wydaje się, że zostaje to utracone. Tworzona jest po prostu doskonała kopia.

— Skoro kopia jest tak doskonała, że nie można jej odróżnić od oryginału — odparł Ramacan, — to jaka jest różnica? Ego zasadniczo jest kwestią ciągłości. Człowiek, jego podstawowa jaźń, jest ciągle zmieniającym się wzorem synaps, które mają tylko tymczasowy związek z cząsteczkami, które akurat właśnie tworzą wzorzec obowiązujący w tym momencie. To projekt, a nie materiał konstrukcyjny, jest ważny. I to projekt, zachowujemy.

— Naprawdę? — spytał Felgi. — Wydawało mi się, że zauważyłem silne podobieństwo wśród Ziemian.

— No cóż, skoro zapisy mogą być zmodyfikowane, nie było powodu, abyśmy ciągnęli za sobą okaleczone, chore lub zdeformowane ciała —

powiedział Ramacan. — Zapisy można wykonać dla doskonałych okazów i wymazać z nich wszystkie wzorce ego; wtedy można na nie nałożyć wzór neuronowy innej osoby. Odrodzenie – w nowym ciele! Naturalnie, wszyscy hołdowali powszechnie akceptowanym standardom urody, dlatego doprowadziło to do pewnego uniformizmu. Inne ciało, oczywiście prowadzi z czasem do innej osobowości, człowiek jest przecież istotą psychosomatyczną. Ale ciągłość, która jest zasadniczą cechą ego, nadal istnieje.

— Ummm - rozumiem. Mogę zapytać, ile ma pan lat?

— Około siedmiuset pięćdziesięciu. Byłem w średnim wieku, kiedy powstało Odradzanie, ale zostałem umieszczony w młodym ciele.

Wzrok Felgiego przesunął się z gładkiej, młodzieńczej twarzy Ramacana na swoje własne dłonie, z guzowatymi stawami i wydatnymi żyłami, charakterystycznymi dla jego sześćdziesięciu lat. Na chwilę palce zacisnęły się, ale głos pozostał łagodny.

— Czy nie ma pan problemu z uporządkowanym utrzymywaniem wspomnień?

— Tak, ale co jakiś czas usuwam z zapisu niektóre bezużyteczne i powtarzające się wspomnienia, i to pomaga. Roboty dokładnie wiedzą, która część wzorca odpowiada danemu wspomnieniu i mogą ją wymazać. Po, powiedzmy, kolejnym tysiącu lat, prawdopodobnie będę miał duże luki. Ale nie będą one ważne.

— A co z pozornym przyspieszeniem upływu czasu wraz z wiekiem?

— To był problem po pierwszych kilku stuleciach, ale potem zdaje się, że wypłaszczyło się to, a system nerwowy się do tego przystosował. Muszę jednak powiedzieć — przyznał Ramacan — że ta sprawa, podobnie jak brak zachęt, są prawdopodobnie odpowiedzialne za nasze obecne statyczne społeczeństwo i ogólną nieproduktywność. Istnieje okropna tendencja do odwlekania spraw, a dzień wydaje się zbyt krótki, aby cokolwiek zrobić.

— Zatem koniec postępu – nauki, sztuki, wysiłków, wszystkiego, co uczyniło człowieka człowiekiem.

— Nie tak. Nadal mamy sztukę, rękodzieło i… rozmaite hobby, jak sądzę, można je nazwać. Może nie robimy już tak dużo, ale… dlaczego mielibyśmy?

— Jestem zaskoczony, że tak duża część Ziemi cofnęła się do stanu dzikości. Można by pomyśleć, że powinniście mieć duże przeludnienie.

— Nie. Kreator i transmiter pozwalają ludziom żyć z dala od siebie, w fizycznym dystansie, i nadal być w tak bliskim kontakcie, jak to konieczne. Społeczeństwa stały się przestarzałe. Jeśli chodzi o problem populacji, to nie ma żadnego. Po kilku dzieciach, niewielu ludzi chce mieć kolejne. W każdym razie jest to raczej niemodne.

— Zgadza się — potwierdził cicho Felgi. — Na Ziemi niemal nie widziałem żadnego dziecka.

— I oczywiście następuje powolny odpływ do gwiazd, gdy ludzie szukają czegoś nowego. Można wysłać swój zapis statkiem-robotem, a podróż o długości wielu stuleci stanie się niczym. Przypuszczam, że to

kolejna przyczyna spokoju panującego na Ziemi. Co bardziej niespokojny i żądny przygód element, odleciał stąd.

— Czy macie z nimi kontakt?

— Żadnego. Nie, w sytuacji gdy statki kosmiczne mogą poruszać się tylko z połową prędkości światła. Raz na jakiś czas będą do nas wpadać zaciekawieni wędrowcy, ale to będą bardzo rzadkie wypadki. Wydaje się, że w galaktyce rozwijają się dziwne kultury.

— Czy na Ziemi w ogóle nie pracujecie?

— Och, niektóre usługi publiczne muszą być utrzymywane – psychiatria, ludzcy technicy nadzorujący różne stacje itd. Jest jeszcze wiele przedsiębiorstw świadczących usługi osobiste – zwłaszcza rozrywka i ręczne tworzenie skomplikowanych wyrobów, które mogą dalej być powielane przez kreatory. Ale jest wystarczająco wielu ludzi chętnych do pracy przez kilka godzin w miesiącu, czy w tygodniu, choćby po to, by wypełnić czas lub uzyskać takie saldo kredytowe, które pozwoli im na zakup dla siebie takich usług, jakich tylko zechcą. To idealnie stabilna kultura, generale Felgi. To chyba jedyne naprawdę stabilne społeczeństwo w całej historii ludzkości.

— Zastanawiam się – czy nie macie w ogóle żadnych środków ostrożności? Jakichś sił zbrojnych, środków obrony przed najeźdźcami – cokolwiek?

— A czego mielibyśmy się obawiać? Przybyszy z kosmosu? — zawołał Ramacan. — Kto mógłby nas najechać pokonując odległość wielu lat świetlnych – z połową prędkości światła? A jeśli tak, to dlaczego?

— Rabunek…

Ramacan roześmiał się.

— Przecież wszystko, czego by żądali, moglibyśmy powielić i im dać.

— Moglibyście, naprawdę? — Nagle Felgi wstał. — Moglibyście?

Ramacan również wstał, a jego nerwy i mięśnie znów się napięły. Na twarzy Procjonity pojawił się wyraz twardego triumfu, mściwy, groźny.

Felgi dał znak swoim ludziom za drzwiami. Podbiegli jak mogli najszybciej, z uniesionymi miotaczami, a w ich oczach było coś twardego i paskudnego.

— Koordynatorze Ramacan — oświadczył Felgi, — jest pan aresztowany.

— Co… co…

Ziemianin poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu fizyczny cios. Przytrzymał się wsparcia. Jak przez mgłę usłyszał żelazne tony:

— Potwierdził pan to, co myślałem. Ziemia jest nieprzygotowana, beznadziejnie zależna od kilku niebronionych kluczowych punktów. A ja dowodzę wojennym statkiem kosmicznym, wypełnionym żołnierzami. Przejmujemy władzę!

Obecny dom Avi znajdował się w Ameryce Północnej, na wybrzeżu środkowo-atlantyckim. Podobnie jak większość domów prywatnych w dzisiejszych czasach, był mały i niski, z przestawnymi ścianami

wewnętrznymi i łatwymi do urozmaicania meblami. Kochała kwiaty, a wokół jej domu rozkwitały wspaniałe, przepiękne ogrody, rozciągające się zarówno w stronę morza, jak i lądu aż do skraju ogromnego lasu, który powrócił na kontynent wraz z końcem rolnictwa.

Razem z Harolem spacerowali między krzewami, drzewami i kwiatami. Luźno rozpuszczone długie i jasne włosy dziewczyny powiewały na morskiej bryzie, a jej osiemnastoletnia postać była szczupła i pełna wdzięku jak młody jeleń. Nagle myśl o opuszczeniu jej, zaczęła go przejmować ogromną niechęcią.

— Będę za tobą tęskniła, Harol — powiedziała.

Uśmiechnął się krzywo.

— Przeżyjesz to — powiedział. — Są przecież inni. Pewnie poszukasz sobie któregoś z tych kosmitów, o których mówią, że kilka dni temu przylecieli z Procjona.

— Oczywiście — odparła niewinnie. — Dziwię się, że nie zostaniesz gdzieś w pobliżu i nie postarasz się o jedną z kobiet, które przywieźli ze sobą. To byłaby odmiana.

— Niewielka odmiana — odpowiedział. — Szczerze mówiąc, nie potrafię zrozumieć dzisiejszej pasji do różnorodności. Pod tym względem jedna osoba wydaje się bardzo podobna do drugiej.

— To kwestia towarzystwa — powiedziała. — Już po paru latach mieszkania z kimś, poznajesz go zbyt dobrze. Jesteś w stanie dokładnie powiedzieć, co zrobi, co ci powie, co zje na obiad i na jakiego rodzaju show będzie chciał się udać wieczorem. Ci koloniści będą – nowi! Będą mieli inne zwyczaje niż nasze, będą w stanie opowiedzieć o nowym, innym układzie planetarnym… — urwała. — Ale teraz tak wiele kobiet będzie ścigać tych nieznajomych, że wątpię, czy będę miała szansę.

— Ale jeśli chcesz tylko z nimi rozmawiać… och, cóż. — Harol wzruszył ramionami. — W każdym razie, z tego co wiem, Procjonici nadal przestrzegają więzi rodzinnych. Będą raczej zazdrośni o swoje kobiety. A ja potrzebuję tej zmiany.

— Mięsożerca…! — Avi roześmiała się, a Harol ponownie pomyślał, że jej śmiech brzmi jak muzyka. — Masz przynajmniej oryginalne pomysły. — Nagle zrobiła się poważna. Trzymała jego dłonie i spojrzała mu w oczy. — Zawsze to w tobie lubiłam, Harol. Zawsze byłeś myślicielem i poszukiwaczem przygód, nigdy nie pozwoliłeś sobie na psychiczne rozleniwienie, jak większość z nas. Po kilku latach rozłąki zawsze jesteś jak nowy, wychodzisz z rutyny i robisz coś dziwnego, uczysz się czegoś innego, znowu robisz się młody. Zawsze do siebie wracaliśmy, kochanie, i zawsze byłam z tego zadowolona.

— Ja też — powiedział cicho. — Chociaż ja też żałowałem naszych rozstań. — Uśmiechnął się, gorzkim uśmiechem z nutą smutku. — W dawnych czasach moglibyśmy być bardzo szczęśliwi, Avi. Bylibyśmy małżeństwem i bylibyśmy razem przez całe życie.

— Parę lat, a potem wiek, osłabienie i śmierć. — Zadrżała. — Śmierć! Nicość! Nawet świat nie może istnieć, gdy ktoś jest martwy. Nie, kiedy nie pozostał ci mózg, by o tym wiedzieć. Po prostu – nicość. Jak gdyby człowiek nigdy nie istniał! Czy nigdy nie bałeś się tej myśli?

— Nie — powiedział i pocałował ją.

— To kolejny sposób, w jaki różnisz się od innych — mruknęła. — Zastanawiam się, dlaczego nigdy nie odleciałeś do gwiazd, Harol. Wszystkie twoje dzieci to zrobiły.

— Raz prosiłem, żebyś poleciała ze mną.

— Nie ja. Podoba mi się tutaj. Życie jest fajne, Harol. Nie wydaje mi się, żebym nudziła się tak łatwo, jak większość ludzi. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Tak, jest — powiedział i zacisnął usta.

Stał i patrzył na nią, zastanawiając się, czy był ostatnim mężczyzną na Ziemi, który kochał kobietę, zastanawiając się, co ona naprawdę do niego czuje. Może na swój sposób go kochała – zawsze do siebie wracali. Ale nie w sposób, w jaki on o niej myślał; nie tak, żeby rozstanie było potwornym bólem, a ponowne połączenie było… Nieważne.

— Nadal będę w pobliżu — powiedział. — Będę się tu błąkać po lesie; poproszę ludzi Odradzania o przeniesienie mnie z powrotem do twojego domu, a potem będę w okolicy.

— Mój kochany tygrys — uśmiechnęła się. — Przyjdź do mnie od czasu do czasu, Harol. Idź ze mną na niektóre imprezy.

Ładna, efektowna ozdoba…

— Nie, dzięki. Ale możesz podrapać mnie po głowie i nakarmić dużymi, krwawymi stekami, a ja powyginam plecy i pomruczę.

Szli ręka w rękę w stronę plaży.

— Co sprawiło, że zdecydowałeś się zostać tygrysem? — spytała.

— Mój psychiatra zalecił odrodzenie w formie zwierzęcia — odpowiedział. — Robię się straszliwym neurotykiem, Avi. Nie mogę usiedzieć spokojnie przez pięć minut i snuję ponure myśli, w których nic nie wydaje się już warte zachodu, życie jest ponurą farsą i… no cóż, zdaje się, że ostatnimi czasy stało się to dosyć powszechnym zaburzeniem. Zasadniczo, to nuda. Kiedy dostajesz wszystko nie pracując na to, życie może stać się strasznie płaskie. Kiedy przeżyło się wiele stuleci, próbowało się wszystkiego setki razy – brak jest odmiany, prawdziwego podniecenia, czegoś co mogłoby przywołać to, co tkwi w tobie… W każdym razie, lekarz zasugerował, żebym poleciał do gwiazd. Kiedy odmówiłem, zaproponował, żebym na chwilę zmienił się w zwierzę. Ale nie chciałem być taki jak wszyscy. Małpą lub słoniem.

— Ten sam stary, przeciwny wszystkiemu Harol — mruknęła i pocałowała go. Odpowiedział z niespodziewaną gwałtownością.

— Rok lub dwa dzikiego życia w nowym, nieludzkim ciele zrobi różnicę — powiedział po chwili.

Leżeli na piasku, czując, jak obmywa ich światło słońca, słysząc kołysankę szeptaną przez fale i wdychając czysty, ostry zapach morza, soli oraz wielu wypełnionych wiatrem kilometrów. Wysoko nad głową krążyła mewa, biała na tle błękitu.

— Nie zmienisz się? — spytała.

— O, tak. Nie będę potrafił zapamiętać wielu rzeczy, które teraz wiem. Wątpię, czy nawet najbardziej inteligentny tygrys byłby w stanie zrozumieć analizę wektorową. Ale to nie będzie miało znaczenia,

odzyskam to, kiedy przywrócą mi ludzką formę. Kiedy poczuję, że zmiana osobowości zaszła tak daleko, że staje się to niebezpieczne, przyjdę tutaj i możesz mnie wysłać z powrotem do Odradzania. Ważna jest terapia – zmiana punktu widzenia, nowe i wymagające środowisko – Avi! — Usiadł opierając się na jednym łokciu i popatrzył na nią. Avi, dlaczego nie pójdziesz ze mną? Dlaczego oboje nie zostaniemy tygrysami?

— I będziemy mieli dużo małych tygrysków? — uśmiechnęła się sennie. Nie, dzięki, Harol. Może kiedyś, ale nie teraz. Naprawdę nie jestem osobą żądną przygód. — Przeciągnęła się i przytuliła się ponownie do ciepłej białej wydmy. — Podoba mi się tak, jak jest.

„No i są ci ludzie z gwiazd… Na Słońce, co się ze mną dzieje? Następnym razem, popełnię jakieś grubiaństwo przeciwko jednemu z jej kochanków. Potrzebuję tej terapii, naprawdę.”

— A potem wrócisz i opowiesz mi o wszystkim — powiedziała Avi.

— A może nie — drażnił ją. — Może znajdę gdzieś jakąś piękną tygrysicę i zakocham się w niej tak bardzo, że nigdy nie będę chciał zmienić się z powrotem w człowieka.

— Nie ma żadnych innych tygrysów, chyba że przekonasz kogoś, żeby poszedł z tobą — odpowiedziała. — Ale czy polubisz ludzkie ciało po takiej ślicznej, prążkowanej skórze? Czy my, biedni, pozbawieni włosów ludzie, ciągle będziemy wyglądali dla ciebie dostatecznie dobrze?

— Kochanie — uśmiechnął się — ty będziesz wyglądała dla mnie zawsze na tyle dobrze, żeby cię zjeść.

Po chwili wrócili do domu. Wysoko na niebie nadal kołowała i szybowała mewa.

Las był wielki, zielony i tajemniczy, światło słoneczne padało na zacienione miejsca, a pod wielkimi, starymi drzewami buchały paprocie i kwiaty. Między chłodnymi, omszałymi brzegami szumiały potoki, ryby skakały jak srebrne smugi na jasnych płyciznach, samotne jeziorka, gdzie cisza wisiała jak otulający wszystko płaszcz, otwarte łąki podszytej wiatrem trawy, przestrzeń i samotność oraz niekończący się rytm życia.

Oczy tygrysa widziały mniej niż ludzkie; świat wydawał się ciemny, płaski i bezbarwny, dopóki się do niego nie przyzwyczaił. Potem miał coraz większe trudności z pamiętaniem, czym był kolor i perspektywa. Ale inne jego zmysły obudziły się do życia, uświadomił sobie, jakim był więźniem we własnej głowie – patrząc na świat, który nigdy nie był tak realny jak obecnie.

Słyszał dźwięki i tony, których żaden człowiek nigdy wcześniej nie słyszał, słabe buczenie i ćwierkanie owadów, szelest liści na lekkim, ciepłym wietrzyku, niewyraźny szept skrzydeł sowy, bieganie małych, przerażonych stworzeń. w wysokiej trawie… wszystko to zlewało się w potężną symfonię, bicie serca i oddech lasu. A jego nozdrza drżały od nieskończonej palety zapachów, upajającego zapachu zgniecionej trawy, przenikliwej woni pleśni i rozkładu, ostrego, dzikiego zapachu futra, gorącego opicia się świeżo rozlaną krwią. I czuł każdym włoskiem, wąsy

drżały mu przy najmniejszym poruszeniu, rozkoszował się głęboką, silną grą mięśni – pomyślał, że ożył; człowiek był na wpół martwy w porównaniu z pulsującą w tygrysie witalnością.

W nocy, noc – teraz ciemności przestały dla niego istnieć. Światło księżyca było białym, zimnym płomieniem, przez który skradał się na leciutkich stopach; najczarniejszy mrok był dla niego światłem – cienie, blade plamy luminescencji, zmieniająca się, przemykająca fantazja szarości jak stary i nagle przypomniany sobie sen.

Leżał w znalezionej jaskini, a jego nowe ciało nie odczuwało dyskomfortu z powodu wilgotnej ziemi. W nocy wychodził z niej, jak wielki, mglisty duch, tylko jego oczy jaśniały bursztynowym światłem, a las przemawiał do niego dźwiękami, zapachami i uczuciami, smakiem zwierzyny na wietrze. Był wtedy panem, cały las drżał i usuwał się przed nim. Był odzianą w czerń i złoto śmiercią.

Kiedyś przez ludzką część jego umysłu przemknął starożytny wiersz, pozwolił tym słowom przetoczyć się jak złowieszczy grzmot w mózgu i spróbował wypowiedzieć je na głos. Las zadrżał od kaszlącego ryku tygrysa.

Tygrysie, błysku w gąszczach mroku:
Jakiemuż nieziemskiemu oku
Przyśniło się, że noc rozświetli
Skupiona groza twej symetrii?[1]

A arogancka kocia dusza warknęła w odpowiedzi: To ja! Później próbował przypomnieć sobie ten wiersz, ale nie potrafił. Na początku nie odnosił zbyt wielu sukcesów, przywarło do niego zbyt wiele ludzkiej niezręczności. Warczał z wściekłości i zdziwienia, kiedy króliki uskakiwały przed nim na boki, kiedy jeleń zwietrzył, że czai się na niego i mu uciekał. Poszedł do domu Avi, a ona nakarmiła go dużymi kawałkami surowego mięsa, zaśmiała się i podrapała go pod brodą. Była zachwycona swoim pupilem.

Avi, pomyślał i przypomniał sobie, że ją kocha. Ale tak było gdy miał swoje ludzkie ciało. Dla tygrysa nie miała wartości estetycznej ani seksualnej. Ale lubił pozwalać jej głaskać się, mruczał wtedy jak potężny silnik i ocierał się o jej szczupłe nogi. Wciąż była mu bardzo droga i kiedy z powrotem stanie się człowiekiem…

Ale instynkty tygrysa wywalczyły sobie drogę powrotną; nie da się odrzucić dziedzictwa miliona lat, bez względu na to, jak bardzo technicy próbowali go zmienić. Zrobili niewiele więcej, niż tylko zwiększenie jego inteligencji, a nerwy i gruczoły tygrysa wciąż tam były.

Nadeszła noc, kiedy zobaczył stado królików tańczących w świetle księżyca i rzucił się na nie. Jedna z wielkich łap o stalowych pazurach opadła w dół, poczuł rozdzierane ciało i pękające kości, a potem połykał słodką, gorącą krew i obierał mięso z kruchych żeber. Wpadł w amok, ryczał i szalał przez całą noc, wykrzykując swą radość do bladego,

[1] William Blake „Tygrys", tłum. Stanisław Barańczak.

zimnego księżyca. O świcie wrócił do swojej jaskini zmęczony, a jego ludzki umysł wstydził się tego wszystkiego. Ale następnej nocy znowu polował.

Jego pierwszy jeleń! Leżał cierpliwie na gałęzi wiszącej nad ścieżką; tylko jego nerwowy ogon poruszał się leciutko, podczas gdy powolne godziny mijały, a on czekał. A kiedy pod spodem przeszła łania, rzucił się na nią jak płowy piorun. Wielka uderzająca łapa, szczęki jak nożyce, krótka, straszna walka i leżała martwa u jego stóp. Obżerał się, jadł, aż ledwie mógł doczołgać się z powrotem do jaskini, a potem spał jak pijany człowiek, aż obudził go głód i wrócił do padliny. Pożerała ją sfora dzikich psów, rzucił się na nie i zabił jednego, a resztę rozproszył. Następnie kontynuował ucztę, aż pozostały tylko kości.

Las był pełen zwierzyny; to było łatwe życie dla tygrysa. Ale nie nazbyt łatwe. Nigdy nie wiedział, czy wróci z pełnym, czy pustym brzuchem, i to była część przyjemności.

Nie usunęli wszystkich tygrysich wspomnień; fragmenty pozostały, aby go prześladować; czasami budził się, jęcząc z niewyraźnym zdziwieniem, gdzie jest i co się stało. Wydawało mu się, że przypomina sobie świty w mglistej dżungli, szeroką brązową rzekę lśniącą w słońcu, kolejną jaskinię i inną postać w paski obok niego. W miarę upływu czasu był coraz bardziej zdezorientowany, mgliście mu się zdawało, że to on musiał kiedyś polować na sambar i widzieć, jak białe nosorożce przechodzą o zmierzchu jak poruszające się góry. Coraz trudniej było mu utrzymać jasność myśli.

Tego oczywiście można było się spodziewać. Jego koci mózg nie był w stanie pomieścić wszystkich ludzkich wspomnień i idei, i wraz z upływem tygodni i miesięcy tracił wcześniejszą przejrzystość wspomnień. Wciąż identyfikował się z pewnym dźwiękiem „Harol” i przypominał sobie inne formy i sceny – ale coraz mniej wyraźnie, jakby były one wyblakłymi okruchami snu. I mocno pamiętał, że musi wrócić do Avi i pozwolić jej wysłać – zabrać? – się gdzie indziej, zanim zapomni, kim jest.

No cóż, nadszedł na to czas, pomyślała ludzka część. Nie straciłby tego wspomnienia od razu, wiedziałby z dużym wyprzedzeniem, że nałożona na niego ludzka osobowość rozpada się w swoim dziwnym siedlisku i że powinien wracać. W międzyczasie coraz bardziej i głębiej zanurzał się w leśne życie, a jego horyzonty zwęziły się, aż zaczęło mu się wydawać, że to jedyne co istnieje.

Od czasu do czasu wędrował nad morze do domu Avi, aby zjeść posiłek i dobrze się poczuć. Ale wizyty stawały się coraz rzadsze, otwarty teren denerwował go i nie mógł wysiedzieć w domu po zmroku.

Tygrysie…

A lato mijało.

Obudził go zimny, mokry chłód w jaskini, deszcz na zewnątrz i kąśliwy wiatr wiejący przez ociekające cieniami drzewa. Zadrżał i warknął,

wyciągając pazury, ale to nie był wróg, którego mógłby dopaść i zniszczyć. Dzień i noc ciągnęły się w biedzie i mizerii.

Przypomniał sobie, że w dawnych czasach tygrysy były zwierzętami o dużych zdolnościach adaptacyjnych; dotarły na północ nawet na Syberię. Ale jego oryginał pochodził z tropików. Do diabła! zaklął, a grzmiący ryk zahuczał po lesie.

Ale potem nadeszły zimne, bezchmurne dni z porywistym wiatrem śmigającym po wysokim, bladym niebie, martwymi liśćmi wirującymi na jego podmuchach i szeleszczącymi cienkim, suchym szmerem. Gęsi hałasowały na niebie, kierując się na południe, a noce wypełniał ryk jeleni. W powietrzu czuło się szaleństwo; tygrys tarzał się w trawie, mruczał jak stłumiony grzmot i ryczał na wschodzący ogromny pomarańczowy księżyc. Jego futro zgęstniało, nie czuł chłodu poza silnym mrowieniem we krwi. Wszystkie jego zmysły były teraz wyostrzone, żył w nieustannej czujności i nauczył się, przemykać przez opadłe liście jak kolejny cień.

Babie lato, długie leniwe dni jak zmartwychwstała wiosna, ogromne gwiazdy, ostry zapach gnijącej roślinności, a jego ludzki umysł przypomniał sobie, że liście stały się złote, brązowe i ognistoczerwone. Łowił ryby w strumieniach, zgarniając zdobycz jednym ciosem; przemierzał lasy i ryczał na wysokich grzbietach pod księżycem.

Potem powróciły deszcze, szare, zimne i pełne wilgoci, świat utonął w mokrym nieszczęściu. W nocy nadszedł szron, odrętwiający mu stopy i błyszczący w świetle gwiazd, a w chłodnej ciszy słyszał odległy rytm morza. Trudniej było wytropić zwierzynę, często był głodny. Do tej pory nie przejmował się tym zbytnio, ale jego rozumna część martwiła się zimą. Może lepiej wrócić.

Pewnej nocy spadł pierwszy śnieg, a rano świat był biały i nieruchomy. Przedarł się przez niego, warcząc ze złości i zastanawiał się, czy nie ruszyć na południe. Ale koty nie są skłonne do długich podróży. Pamiętał mgliście, że Avi może dać mu jedzenie i schronienie.

Avi… Przez chwilę, kiedy próbował o niej myśleć, pomyślał o złocistym ciele w ciemne prążki i ostrym kocim zapachu wypełniającym jaskinię nad starą szeroką rzeką. Potrząsnął potężnym łbem, zły na siebie i świat, i próbował przywołać jej wizerunek. Twarz była zamglona, ale wrócił do niego zapach i cicha, cudowna muzyka jej śmiechu. Pójdzie do Avi.

Przeszedł przez nagi las wyniosłym krokiem jego króla i wkrótce stanął na plaży. Morze było szare, zimne i ogromne, a na brzegu ryczały białogrzywe fale; wirujący śnieg kłuł go w oczy. Szedł wzdłuż plaży, aż zobaczył jej dom.

Był dziwnie cichy. Przeszedł przez ogród. Drzwi były otwarte, ale w środku pozostała tylko pustka.

Może jej nie było. Zwinął się na podłodze i poszedł spać.

Obudził się znacznie później, głód gryzł go w żołądku, a mimo to nikt nie przyszedł. Przypomniał sobie, że na zimę miała zwyczaj jeździć na południe. Jednak nie zapomniałaby o nim, wracałaby od czasu do czasu – ale w domu niewiele było jej zapachu, nie było jej tutaj przez długi czas. I panował nieporządek. Wyjechała w pośpiechu?

Podszedł do kreatora. Nie pamiętał, jak on działał, ale pamiętał proces wybierania numeru i przełączania. Na chybił trafił pociągnął łapą za dźwignię. Nic się nie stało.

Nic! Kreator był martwy.

Ryknął z rozczarowania. Powoli zaczęło go ogarniać zdziwienie i strach. To nie było tak, jak powinno.

Ale był głodny. Musiał teraz spróbować zdobyć jedzenie na własną rękę i wrócić tu później, z nadzieją na znalezienie Avi. Powrócił do lasu.

Wkrótce poczuł zapach żywej istoty pod śniegiem. Niedźwiedź. Wcześniej on i niedźwiedzie pozostawali w stanie ostrożnej neutralności. Ale ten tutaj spał, nie zachowując ostrożności, zaś tygrysi brzuch wołał o pożywienie. Kilkoma potężnymi ruchami rozerwał pokrywę i rzucił się na zwierzę.

Obudzenie hibernującego niedźwiedzia jest niebezpieczne. Ten poderwał się, jego ciężka łapa machnęła, tygrys odskoczył, a krew spłynęła mu po pysku.

Nadeszło szaleństwo, wściekłość, która sprawiła, że rzucił się naprzód. Niedźwiedź warknął i zebrał się w sobie. Zwarli się i nagle tygrys walczył o życie.

Niewiele pamiętał z tej walki, poza czerwonym wirem szoku i wściekłości, kotłowaniny w śniegu i rozlewu krwi na zimnym powietrzu. Uderzaj, gryź, rozdzieraj, grzmiący cios otrzymany w żebra i czaszkę, smak gorącej krwi w ustach i szaleństwo śmierci wrzeszczącej i bełkoczącej w głowie!

W końcu zatoczył się brocząc krwią i upadł na poszarpane martwe cielsko niedźwiedzia. Leżał tam przez długi czas, a dzikie psy krążyły w pobliżu, czekając aż umrze.

Po pewnym czasie poruszył się słabo i zjadł trochę niedźwiedziego mięsa. Ale nie mógł odejść. Ciało płonęło mu jednym ogromnym bólem, łapy chybotały się pod nim, jedna z nich została zmiażdżona przez wielkie szczęki. Leżał obok martwego niedźwiedzia pod zawaloną pokrywą gawry, a śnieg powoli spadał na nich.

Walka, męka i bliskość śmierci wysunęły na pierwszy plan dawne instynkty. Jak tygrys, lizał swoje postrzępione ciało, połykał kawałki gnijącego mięsa, w miarę upływu dni, i czekał, aż wróci trochę zdrowia.

W końcu pokuśtykał z powrotem do swojej jaskini. Dokuczały mu senne wspomnienia; był dom i ktoś, kto był dobry, ale – ale...

Był zmarznięty, okulały i głodny. Nadeszła zima.

— **N**ie jesteś już nam potrzebny — powiedział Felgi, — ale z uwagi na pomoc, jaką dla nas byłeś, będziesz mógł żyć – przynajmniej do czasu, aż wrócimy na Procjona i Rada podejmie decyzję w twojej sprawie. Prawdopodobnie masz więcej cennych informacji o Układzie Słonecznym niż wszyscy nasi pozostali więźniowie. To głównie kobiety.

Ramacan popatrzył na twardą, radosną twarz i odparł głucho:

— Gdybym wiedział, co planujecie, nigdy bym wam nie pomógł.

— Och, zrobił byś to, zrobił — parsknął Felgi. — Widziałem twoją reakcję, kiedy pokazaliśmy ci niektóre z naszych środków perswazji. Wszyscy Ziemianie jesteście do siebie podobni. Ukrywaliście się przed śmiercią już tak długo, że zniknął u was cały kręgosłup moralny. Już samo to czyni was niezdolnymi do utrzymania swojej planety.

— Masz plany duplikatorów, nadajników i wiązek siłowych – całą naszą technologię. Pomogłem ci zdobyć je ze stacji. Czego więcej chcesz?

— Ziemi.

— Ale dlaczego? Dzięki kreatorom i transmiterom możecie sprawić, że wasze planety będą przypominały dawne marzenia o raju. Ziemia jest bardziej sympatyczna, to prawda, ale jakie znaczenie ma dla was środowisko?

— Ziemia nadal jest prawdziwym domem człowieka — oznajmił Felgi. W jego oczach płonął fanatyzm, jakiego Ramacan nie widział nawet w najgorszych koszmarach. — Powinna należeć do najlepszej rasy ludzkiej. Poza tym – no cóż, nasza kultura nie byłaby w stanie znieść tej technologii. Cywilizacja Procjonitów dorastała wśród przeciwieństw, ukształtowała ją walka i trudności, które stały się częścią naszej natury. Po zniszczeniu Czemigi, musimy znaleźć innego wroga.

„No tak”, pomyślał Ramacan. *„To już zdarzało się wcześniej, w krwawej przeszłości Ziemi. Narody, które nie znały nic oprócz wojny i cierpienia, były przez nie kształtowane, gloryfikowały surowe cnoty, umożliwiające im przetrwanie. Państwo militarystyczne nie może sobie pozwolić na pokój, wypoczynek i dobrobyt; jego obywatele mogliby zacząć samodzielnie myśleć. Tak więc rząd szuka podboju poza granicami… Konieczna czy nie, aby utrzymać kontrolę nad wojskiem, potrzebna jest wojna*.

Jakimi ludźmi stali się Procjonici? Co wypaczyło ich przez wieki strasznej ewolucji? Nie są już ludźmi, lecz walczącymi robotami, drapieżnymi bestiami, muszą czuć krew.”

— Widziałeś, jak ostrzelaliśmy Stacje z kosmosu — mówił dalej Felgi. — Odradzanie, Kreator, Transmiter – stały się teraz radioaktywnymi kraterami. Na Ziemi nie działa żadna maszyna, nie pali się żadna lampa – nic! A bez kreatorów, od których zależało ich życie, Ziemianie powrócą do całkowitego barbarzyństwa.

— I co teraz? — spytał ze znużeniem Ramacan.

— Polecimy na Merkurego, żeby zatankować — powiedział Felgi. — Następnie wracamy na Procjona. Wykorzystamy nasz kreator do zapisania większości załogi, mogą oni na zmianę być odtwarzani na krótko podczas podróży, aby utrzymywać statek i korygować kurs. Kiedy wrócimy do domu, będziemy tylko trochę starsi.

— Potem, oczywiście, Rada wyśle flotę z zapisanymi załogami. Przejmą Sol, wyeliminują resztę ocalałej populacji i ponownie skolonizują Ziemię. Dalej… — W jego oczach zapłonął ogień szaleństwa. — Gwiazdy! Ostatecznie, galaktyczne imperium.

— Tylko po to, żeby mieć wojnę — stwierdził beznamiętnie Ramacan. — Tylko po to, żebyście mogli utrzymać swoich ludzi w stanie ogłupionego niewolnictwa.

— Wystarczy już! — warknął Felgi. — Nie można się spodziewać, że dekadencka kultura zrozumie nasze motywy.

Ramacan stał, myśląc. Kiedy Procjonici powrócą, ludzie nadal będą żyli. Na przygotowanie się było czterdzieści lat. Ludzie na statkach kosmicznych, tu i tam po całym Układzie, będą wracać do domu; zobaczą oni zniszczoną Ziemię i będą wiedzieli, kto musi być temu winny. Dzięki kreatorom będą mogli szybko się odbudować, będą mogli się uzbroić, milionami powielać żądnych zemsty ludzi.

Chyba że Solarianie zostaną tak mocno ugodzeni, że będą zdolni tylko do ślepej paniki. Ale Ramacan tak nie uważał. Ziemia potknęła się, ale nie aż tak dalece.

Felgi wydawał się czytać w jego myślach. W jego głosie brzmiała okrutna satysfakcja:

— Ziemia nie będzie miała szans na ponowne uzbrojenie. Użyjemy energii ze Stacji Merkurego do zasilania własnego dużego kreatora, zmieniając skały w paliwo osmowe dla naszych silników. Ale kiedy skończymy, wysadzimy również i tę Stację. Statki kosmiczne będą bezradnie dryfować, koloniści na planetach zginą, kiedy ich regulatory środowiskowe przestaną działać, żadna maszyna w całym Układzie Słonecznym nie będzie działać. Myślę, że to będzie ostateczny cios!

W rzeczy samej. Bez energii, bez narzędzi, bez jedzenia i schronienia, nastąpi ostateczny upadek. Po powrocie Procjonitów nie będzie niczego poza kilkoma głodującymi dzikusami. Ramacan poczuł w sobie pustkę.

Życie stało się szaleństwem i koszmarem. Koniec...

— Zostaniesz tutaj, dopóki nie nadejdzie czas aby cię zapisać — powiedział Felgi. Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Ramacan opadł bezwładnie na siedzenie. Jego zdesperowane spojrzenie krążyło przez cały czas po nagiej małej chatce, która stała się jego więzieniem, krążyło i krążyło, podobnie jak szalony wir jego myśli. Popatrzył na strażnika, który stał w drzwiach, oparty o swój blaster, pogardliwie znudzony więźniem. Jeśli… jeśli… O wszechmogący bogowie, gdyby coś takiego miało odziedziczyć zieloną Ziemię!

Co robić, co robić? Musi być jakieś wyjście, jakiś sposób, żaden problem nie był całkowicie nie do rozwiązania. A może był? Jaką gwarancję miał na sprawiedliwość kosmosu? Ukrył twarz w dłoniach.

„Byłem tchórzem”, pomyślał. *„Bałem się bólu. Więc racjonalizowałem, mówiłem sobie, że prawdopodobnie nie chcą wiele, wykorzystałem swoje wpływy, aby pomóc im zdobyć duplikatory i plany. A inni też stchórzyli, ulegli, z wielką ochotą pomagali zdobywcom – i teraz mamy to co się nam należy!”*

Co robić co robić? Gdyby w jakiś sposób statek zaginął, gdyby nigdy nie powrócił - Procjonici będą się zastanawiać. Wyślą kolejny statek lub dwa – nie więcej – do zbadania sytuacji. A za czterdzieści lat Sol mogłoby być gotowe na spotkanie z tymi statkami – gotowe do walki z nieprzygotowanym wrogiem – jeśli w międzyczasie miałoby szansę na odbudowę, gdyby udało się uratować Stację Energetyczną Merkurego.

A jeśli statek zniszczy Stację, powróci z wieściami o zniszczeniu Sol, i z Procjona wyleją się kolejne roje najeźdźców – ruszą przez niczego niepodejrzewającą galaktykę jak rozprzestrzeniająca się zaraza…

Jak powstrzymać statek – teraz?

Ramacan zdał sobie sprawę z łomotu swego serca; wydawało się, że wstrząsa on całym ciałem swoją gwałtownością. Ręce miał zimne i odrętwiałe, usta spierzchnięte, bał się.

Wstał i podszedł do strażnika. Procjonita uniósł swój blaster, ale nie było w nim czujności, nie bał się nieuzbrojonego członka podbitej rasy.

„Zastrzeli mnie”, pomyślał Ramacan. *„Śmierć, przed którą uciekałem przez całe życie, teraz mnie dopadnie. Ale to było długie i dobre życie, i lepiej zakończyć je teraz, niż przeciągać o kilka żałosnych lat spędzonych w roli ich znienawidzonego więźnia i… i… nienawidzę ich bezwzględności!”*

— Czego chcesz? — spytał Procjonita.

— Źle się czuję — powiedział Ramacan. Jego głos zmienił się prawie w szept z powodu suchości w gardle. — Wypuść mnie na zewnątrz.

— Cofnij się.

— Zrobi się bałagan. Pozwól mi pójść do toalety.

Potknął się, prawie upadając.

— Idź — powiedział krótko strażnik. — Będę tuż obok, pamiętaj.

Ramacan chwiał się na nogach, zbliżając się do człowieka. Jego drżące ręce zacisnęły się na lufie blastera i wyszarpnęły broń. Zanim strażnik zdążył krzyknąć, Ramacan wbił mu kolbę w twarz. Odległy zakątek jego umysłu zszokowany był euforią, która wezbrała w nim, gdy zachrzęściły kości.

Strażnik padł jak długi. Ramacan położył go na podłodze, ponownie uderzył, aby upewnić się, że będzie leżał cicho, i zdjął z niego długi wierzchni płaszcz, buty i hełm. Jego ręce naprawdę teraz drżały; ledwo mógł założyć proste szaty.

Jeśli zostanie złapany – cóż, to tylko kilka minut różnicy. Ale nadal się bał. Strach wył w jego myślach.

Zmusił się do marszu długim korytarzem, z koszmarną powolnością. W pewnej chwili minął innego Procjonitę, ale tamten go nie zdemaskował. Kiedy skręcił za róg, wstrząsały nim torsje.

Zszedł po drabince do maszynowni. Dzięki bogom, był na tyle zainteresowany, że wypytał ich o rozkład statku, kiedy przybyli na Ziemię! Drzwi stały otworem i wszedł do środka.

Kilku inżynierów obserwowało pracę gigantycznego kreatora. Pulsował, huczał i dygotał mocą, energią ze Słońca, rozpuszczając atomy skał – atomy odtwarzane potem jako osm, który miał napędzać silniki statku w czasie długiej podróży powrotnej. Tony paliwa spływały do pojemników.

Ramacan zamknął dźwiękoszczelne drzwi i zaczął strzelać do inżynierów.

Następnie podszedł do kreatora i zresetował program. Zaczął produkować pluton.

Uśmiechnął się wtedy z ogromną ulgą i niedowierzaniem, uświadamiając sobie, że wygrał. Usiadł i płakał z radości.

Statek nie wróci. Stacja Merkury przetrwa. Wykorzystując ją, kilku zdeterminowanych ludzi w Układzie Słonecznym będzie mogło odbudować cywilizację. Na Ziemi zapanuje horror, szalony chaos, większość jej populacji pogrąży się w barbarzyństwie i śmierci. Ale wystarczająco wielu ludzi przeżyje i pozostanie w cywilizowanym stanie, aby przygotować się do zemsty.

Może dobrze się stało, pomyślał. Może Ziemia naprawdę zapadła w zmierzch bezcelowej łatwości. Prawdą było, że nie istniały już dawne zmagania, nadzieje i odważne czyny, które uczyniły człowieka tym, kim był. Nie było sztuki, nauki, przygody – tylko samozadowolenie, nierealna nieśmiertelność w syntetycznym raju. Może ten wstrząs i wyzwanie były tym, czego Ziemia potrzebowała, aby ponownie ruszyć w drogę ku gwiazdom.

Co do niego, przeżył wiele stuleci i teraz zdał sobie sprawę, jakie tkwiło w nim głębokie wewnętrzne zmęczenie. *„Śmierć*”, pomyślał, *„śmierć to najdłuższa podróż ze wszystkich. Bez śmierci nie ma ewolucji, nie ma prawdziwego sensu życia, ostateczna przygoda została nam odebrana*”.

Przypomniał sobie, pewną dziewczynę, która umarła, zanim maszyny odradzania stały się dostępne. Dziwne – po tylu stuleciach wciąż pamiętał jak jej włosy falowały na wietrze, pewnego dnia na wysokim, zalanym letnim słońcem wzgórzu. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Nawet nie poczuł eksplozji, gdy pluton osiągnął masę krytyczną.

Stopy Avi krwawiły. Jej buty w końcu się rozpadły, a kamienie i gałązki poraniły jej stopy. Śnieg poplamiony był krwią.

Zmęczenie chwyciło ją w swe szpony, nie mogła iść dalej – ale musiała, musiała, bała się zatrzymać w tej dziczy.

Nigdy w życiu nie była sama. Zawsze w pobliżu były telewizory i transmitery, żadne miejsce na Ziemi nie było dalej niż o jedną chwilę od niej. Ale obecnie świat rozrósł się do ogromnych rozmiarów, maszyny były martwe, było tylko zimno i mrok oraz puste, pełne bieli odległości. Świat ciepła, muzyki, śmiechu i niezobowiązującej przyjemności stał się tak odległy i nierealny jak sen.

Czyżby był on tylko snem? Może zawsze kuśtykała chora i głodna przez koszmarny świat bezlistnych drzew i dryfującego śniegu i wiatru, który przeszywał ją zimnem przez cienkie strzępy jej ubrań? A może to było snem, to nagłe szaleństwo grozy i śmierci?

Śmierć – nie, nie, nie, nie mogła umrzeć, była jedną z nieśmiertelnych, nie mogła umrzeć!

Wiatr wiał i wiał.

Zapadała noc, zimowa noc. Gdzieś w mroku ujadał dziki pies. Próbowała krzyczeć, ale gardło ochrypło jej od krzyku; wydobył się z niego tylko ostry rechot.

„Na pomoc, na pomoc, na pomoc”.

Może powinna była zostać z tym mężczyzną. Wymyślił sidła, w które od czasu do czasu łapał królika lub wiewiórkę, i ciskał jej resztki. Ale

patrzył na nią tak dziwnie, kiedy minęło kilka dni bez zdobyczy. Zabiłby ją i zjadł; musiała uciekać.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj… Nie mogła biec, las sięgał wiecznie, została złapana przez zimno i noc, głód i śmierć.

Co się stało, co się stało, co się stało ze światem? Co się stanie z nią?

Lubiła udawać, że jest jedną ze starożytnych bogiń, tworzącą z nicości to czego zapragnie, której służył ogromny i wieczny świat; jedynym jego celem było służenie jej. Gdzie teraz był ten świat?

Głód skręcił się w niej jak nóż. Potknęła się o zasypaną śniegiem kłodę i upadła, próbując niemrawo wstać.

„Byliśmy zbyt miękcy, za bardzo z siebie zadowoleni”, pomyślała mgliście. *„Utraciliśmy wszystkie moce, byliśmy tylko małymi pasożytami żerującymi na naszych maszynach. Teraz nie jesteśmy zdolni…”*

„Nie! Nie zgadzam się na to! Kiedyś byłem boginią…”

„Rozpieszczony bachor”, szydził demon w jej umyśle. *„Płaczący za matką dzieciak. Powinnaś być na tyle dorosła, żeby o siebie zadbać – po tych wszystkich stuleciach. Nie powinnaś kręcić się w kółko, czekając na pomoc, która nigdy nie nadejdzie, powinnaś pomóc sobie, poszukać schronienia, znaleźć jakieś orzechy i korzenie, zbudować sidła. Ale nie potrafisz. Zniknęła cała twoja samodzielność.”*

„Nie – na pomoc, na pomoc, na pomoc…”

Coś poruszyło się w mroku. Zdusiła krzyk. Żółte oczy płonęły jak dwa płomienie, a ogromna postać wyszła bezszelestnie przed nią.

Przez chwilę bełkotała coś w szaleństwie ze strachu, a potem przyszło nagłe opamiętanie i sprawiło, że patrzyła z niedowierzaniem – a potem natychmiastowa gorliwa akceptacja.

W tym lesie mógł być tylko jeden tygrys.

— Harol — szepnęła i wstała. — Harol.

Jak wspaniale. Koszmar się skończył. Harol się nią zaopiekuje. Będzie dla niej polował, chronił ją, doprowadzi ją z powrotem do świata maszyn, które gdzieś wciąż muszą istnieć.

— Harol — zawołała. — Harol, mój drogi…

Tygrys stał bez ruchu; tylko jego drgający ogon żył jakby niezależnym życiem. Przez chwilę, nieistotne przypomniane sobie dźwięki płynęły przez jego umysł: *„Twoja podstawowa mentalność powinna być stabilna przez rok lub dwa, z wyjątkiem jakichś szczególnych wypadków…”* Ale te słowa były bez znaczenia, przemknęły przez jego mózg zmierzając ku zapomnieniu.

Był głodny. Uszkodzona łapa nie zagoiła się dobrze, nie mógł złapać zwierzyny.

Głód, najbardziej żywiołowa potrzeba, stłamsił w nim wszystko, wypełniając jego tygrysi mózg i tygrysie ciało, aż nic więcej nie pozostało.

Stał patrząc na coś, co nie uciekało. Jakiś czas temu zabił inne – na tę myśl oblizał się.

Gdzieś z dawnych czasów przypominał sobie, stworzenie którym kiedyś był – on kiedyś był – ale nie mógł sobie przypomnieć.

Ruszył do przodu.

— Harol — powiedziała Avi. W jej głosie narastał potworny strach.

Tygrys zatrzymał się. Znał ten głos. Pamiętał… pamiętał…

Znał ją kiedyś. Było w niej coś, co go powstrzymywało.

Ale był głodny. I instynkty w jego głowie krzyczały.

Ach gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć, zanim będzie za późno… Czas rozciągnął się w straszliwą wieczność, kiedy stali naprzeciw siebie – dama i tygrys.

KONIEC